

się wzdłuż jej ciała, tworząc kupkę wokół zapylonych buciaków. Zebrawszy ją do koszyka odważyła jako tako pół funta i wręczając Prudencji odezwała się do niej:

— Brat wasz umiera. Szkoda go. Dobry był z niego celnik! Ani razu nie przyłapał ni mnie, ni mego męża. Mają oddać go do szpitala.

— Jezus Marja! Kto będzie płacił? — za krzyknęła Prudencja podskakując, podczas gdy Marja związała pieniądze w róg chustki, zabierała się do wyjścia.

— Kto? — podchwyciła Augustyna — sprzedają jego dom i kwita.

Prudencja usiadła, młynkując wielkimi palcami z błyskawiczną szybkością. Augustyna tymczasem, schowawszy tabakierkę do kieszeni, z łaską w ręku szła ku drzwiom mrużąc:

— Ładny dom... dachówką kryty... wart niemało groszy. Ho! Ho!

Niebawem koła jej wózka, ciągniętego przez psy, zadudniły po bruku.

Kiedy Józef, mąż Prudencji, słyszający za lokajką we dworze, wróciwszy do domu jadł półgębkiem, nie śmiać zrobić uwagi za przy palony bigos, żona miała dość długą przemowę, a że dobry i potulny czelczyzna bał się jej jak ognia, potakiwał więc wszystkiemu.

Wyszedszy wcześniej niż zwykle, wstał pił po drodze do karczmy, gdzie doktor Dupont zatrzymał się w przejeździe, zostawiając dlań zlecenie odwiedzenia chorej żony. Pan doktor, ordynarny, źle ubrany, traktujący swych pacjentów, jak nieprzymierzając weterynarz bydło, stręczyciel koni i nieruchomości jednocześnie, zjawił się tego samego popołudnia i odpowiedział Prudencji na jej utyskiwania, że wie lepiej od niej co jej dolega, wydobyl błoczek z kieszeni i nie badając chorej zabrał się do pisania recepty.

— Na etykietce Towarzystwa Dobroczynności! — prosiła Prudencja płaczącym głosem, za co doktor nazwał ją starą ropuchą, oznajmiając, że skoro tak krucho z nią, gotów kupić jej dom z zapewnieniem dożywocia dla niej i męża, o którym wiedział, że nie wchodzi w rachubę, a dzieci ani też bliższych krewnych nie było.

Prudencja, w obawie, zrażenia sobie doktora, liczącego drogę za wizyty, odpowiedziała wymijająco, myśląc w duszy:

— Niema głupich! Gotów mnie zatruć jeszcze jaką podejrzaną miksturą! Zły, że nie ubije interesu, doktor trzasnąwszy szpic rutą zabierał się do odejścia, kiedy Prudencja spytała nieśmiało:

— Jak tam Dezyderjusz, panie doktorze?

— He! He! Tak wam pilno dziedziczyć po nim? Poczekajcie z tydzień jeszcze. Nagle stanął, zamyślił się, wydobyl błoczek, magryzmolił kilka wierszy i podając kartkę Prudencji, rzucił na odchodnym:

— Macie tu receptę na pastylki słazowe, wydadzą wam je na konto Towarzystwa Do broczynności... A pamiętajcie, że dwa domy nie są wam potrzebne...

Po odejściu doktora Prudencja, wdziawszy spancer i czepek z kryzą, zamknęła dom na dwa spusty i poszła do brata, mieszkającego o pół mili od niej.

Dezyderjusz leżał sam, jak sierota. — Twarz jego była kredowej białości, wargi zaś fioletowe. Grube krople potu błyszczały mu na czole. Nie mógł już mówić.

— A toć lepiej wyglądasz, jak mi Bóg miły! — zawołała Prudencja od progu. — Co mi tam ludziska nagałali, iż źle z tobą! Doktor Dupont powiedział, że bylebyś miał mleko prosto od udoju, świeże powietrze i słońce, a będziesz zdrow jak ryba. — Więc my z Józefem umyśliли zabrać cię do nas. Wszak bratem mi jesteś, Dezyderjusz! Tylko, że nie bogaci my ludzie, a choroba, wiadomo, dużo kosztuje!

Chory człowiek w obliczu śmierci nie dba już o dobra ziemskie. Za promyk nadziei powrotu do zdrowia gotów oddać wszystko. Białemi krukami są ci, co czując, że toma, nie oczekują cudu. To też Dezyderjusz chwycił się tej, jak wierzył, deski ratunku, podanej mu przez troskliwą siostrę — zgodził się scedować na nią dom wraz z meblami wzamian za miraż życia.

Postanowiono tedy, że Dezyderjusz zostanie w ciągu tygodnia przeniesiony do domu Prudencji, a notariusz sporządzi akt dotacyjny w międzyczasie. Z tem Prudencja odeszła do siebie. Nazajutrz, od samego rana, zjawiła się z dwoma jajkami na miękko, które Dezyderjusz, gasnący z godziny na godzinę, przekłnąwszy z trudem, zrzucił natychmiast.

— U nas lepiej ci będzie — pocieszała go Prudencja, kładąc do koszyka zegarek budzik, cztery filiżanki porcelanowe, łyżki i widelce, owijając wszystko w chustki do nosa. Poczem, usiadłszy przy łóżku, puściła w młynek dwa wielkie palce w zamyśleniu.

Na krótko przed południem zjawił się kancelista notariusza i powinszowawszy Dezyderemu poprawy w zdrowiu zabrał się do spisania inwentarza. Prudencja wówczas, wyszedłszy na próg domostwa, zagała rozmowę z zakrystjanem, idącym do dzwonnicy i urzędnikiem celnym, przeorywującym swój ogród, prosząc ich, by zaszli do brata na dzień dobry. Zaledwie zna leżli się w mieszkaniu, kancelista, skończywszy swoją robotę, spytał chorego, czy zgadza się na przepisanie domu i mebli na imię siostry Prudencji? Dezyderjusz skinął głową wobec dwóch przygodnych świadków. Pozostawszy u brata do wieczora, Prudencja wróciła na noc do siebie. Nazajutrz jednak zjawiła się znów wczesnym rankiem w towarzystwie kancelisty z aktem cesyjnym w tece. Dezyderjusz z nieopisanym wysiłkiem podpisał go drżącą ręką.

Poczem Prudencja poszła do domu i nie zagała w ciągu trzech dni do chorego. Czwartego zaś przyjechała wraz z mężem wozem pożyczonym we dworze, tłumacząc się Dezyderemu, że zajęta była uprzątnięciem pokoju dla niego. Przy pomocy sąsiada zniesiono kredens, szafę, stół, krzesła i piecyk na wóz — wszystkie niemal sprzęty. Dezyderjusz zaś pojechał na swym materacu nazajutrz dopiero, kiedy Augustyna szepnęła Prudencji, że włoska burzy się i wót zamierza wdać się w tę sprawę.

Kończono właśnie żniwa, ale umierający celnik nie widział już wozów pełnych zboża, ani słyszał skowronków i koguta nawet, który zapiał w chwili, kiedy wóz wjeżdżał w podwórze... Leżał bowiem w śmiertelnej już śpiączce.

Nazajutrz opłakiwany rzewnymi łzami przez siostrę i szwagra, spoczął w pięknej jodłowej trumnie z nikłowym Chrystusem przybitym do wieka.

Po pogrzebie Dezyderego doktor odwiedził Prudencję, dopytując się o stan jej żołądka i usłyszawszy, że kolki ją biorą w dalszym ciągu, wypisał bezpłatną receptę na jujubowe cukierki. Zjawiwszy się nazajutrz dał jej w prezencie cukierki lukrecyjne, a w dalszym ciągu odwiedzał swą chorą co drugi dzień raz po raz przywożąc jakieś leki i nie wymyślając jej od starych ropuch. Prudencja pewna, że umizga się o kupno jej domu z zastrzeżeniem dożywocia, śmiała się w kufak pocichu.

Nadeszła zima, a doktor Dupont nie ustawał w swej gorliwości. Prudencja miała już w szafie cały rząd flakonów z wszelkiego rodzaju syropami słodkimi jak miód i wzmacniającymi naczem likier.

W dzień Nowego Roku, kiedy Józef zgarbiony we dwoje i z kapką u nosa wracał z ogrodu, gdzie wykopał porę na zupe, ujrzał wchodzącego do domu służącego dr. Dupont którego obowiązkiem było roznoszenie i inkasowanie rachunków za wizyty. Złożywszy życzenia noworoczne i wypiwszy filiżankę kawy oraz kieliszek wódki otworzył pugłares i podał Prudencji rachunek. O mały włos nie zemdląła, nieboga, doktor Dupont bowiem, policzył po słonej cenie wszystkie swoje wizyty. Daremnie uderzyła w płacz, broniąc się przed krzywdą; wierzyciel nazwał ją kryminalistką, grożąc że odda sprawę do sądu i zlicytuje wszystkie meble.

Rada nie rada musiała więc sprzedać d-rowsi Dupont dom otrzymany po Dezyderym w spadku, który po odrzuceniu należności za honorarja przypadł sprytnemu medykowi za pół ceny w udziale.

Upominana przez Augustynę Prudencja podzieliła otrzymaną sumę na dwie nierówne części: mniejszą opłaciła krzyż drewniany, który stolarz postawił na grobie Dezyderego, drugą zaś, znacznie większą schowała do kieszeni halki, której nie zdejmowała na noc nawet

Thum. Jotsaw.

\* \* \*



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Niedziela, 2 marca 1930 roku.

9.

## ŁÓDZIANIE W ZAKOPANEM.



Zimowa stolica Polski — Zakopane, cieszy się dużą frekwencją kuracjuszków, między którymi nie brak pięknych łódzianek i sympatycznych łódzian. Jak szybko i wesoło upływa czas w górach, niechaj świadczą powyższe fragmenty zakopiańskich rozrywek.

TEATRALJA.

Premjery warszawskie. — Widowiska klasyczne. — „Faust” po... chińsku. — Drobiazgi z za kulis.

Słusznie czyni stołeczny Teatr Letni, starając się jak najczęściej wprowadzać na repertuar utwory oryginalne. Bezstronność wszakże każe przyznać, że rzadko kiedy wśród tych plodów lżejszej twórczości rodzimej znajdzie się rzecz godniejsza wagi i posiadająca kwalifikacje trwałych sukcesów. Przeważnie, są to stabilny i naiwnostki, które li tylko przy wielkiej pobłażliwości ze strony kierownictwa teatru i publiczności liczyć mogą na chrzest sceniczny i krótkotrwałe choćby życie na... afiszu. Do rzędu tego rodzaju utworów zaliczyć, niestety, należy trzyaktową krotoczwilię p. Gustawa Beylina p. t. „Maż naszej panienki”, która, poza pewną właściwą temu autorowi żywością i potocznością dialogu (p. Beylin nie jest debutantem), nie posiada absolutnie żadnych wartości, uzasadniających wprowadzenie jej na scenę warszawską.

Naturalnie, nieprawdopodobną przygodę p. Hali, będącą osi krotoczwili, możemy rozgrzeszyć argumentem czasu karnawałowego, w którym wszelki żart i wszelka arlekinada, byleby choć przez chwilę zabawić mogły, uchodzą. Chodzi o to, że ta p. Hala, obraziwszy się na swego narzeczonego — automobilistę, że nie zabrał jej z sobą na jakiś raid gwiazdzisty czy inny, wychodzi temuż narzeczonemu... na złość zamaż, by się po dwóch tygodniach... rozwieść, pogodzić ze swym Romeem i wyjść zań, tym razem „naprawdę”. Solą dowcipu krotoczwili p. Beylina ma być wprowadzenie postaci studenta - astronoma, niedorajdy i niedołągi, który właśnie staje się narzędziem zemsty obrażonej p. Hali, a nie może się zdobyć na to, by w ciągu swej krótkiej historii małżeńskiej choćby... pocałować legalną bądź co bądź małżonkę. Co się tyczy pieprzu, ma nim być dla podniebienia widzów — atmosfera sypialni nazajutrz po nocy poślubnej i to nb. spędzonej przez ową pannę w zupełnie odmienny sposób: raz z owym nieudanym astronomem, drugi raz — z wiedzącym co czynić należy sportowcem - automobilistą. Podobno ludzie bawią się wcale nieźle, patrząc na te wszystkie, niezbyt dowcipne historyjki, a miała w tem, co podkreślić trzeba, zasługa dobrych i sumiennych wykonawców z pp. Olą Leszczyńską (panna moderne), Kurnakowiczem i Łuszczewskim na czele.

Doskonale prowadzony warszawski teatr popularny „Ateneum” wystawił ostatnio grana niedawno w Łodzi sztukę L. Franka p. t. „Karol i Anna”. Starannie przygotowana i inteligentnie grana sztuka przyjęta została zarówno przez prasę jak przez publiczność bardzo życzliwie, na co zresztą — ze względu na swój poziom literacki — w zupełności zasługuje. Przytoczymy tu dla zobrazowania wrażenia, wywołanego utworem Franka w Warszawie, parę słów ze sprawozdania Karola Irzykowskiego, jednego z najbardziej cenionych krytyków stołecznych. Podkreśliwszy, że

Frank, podobnie jak Żeromski, w tragediach socjalnych szuka równocześnie tragedji indywidualnej, pisze Irzykowski: „Frank zachowuje typowość zdarzenia, ale otacza je aureolą wyjątkowości. I zdaje się nawet, że nie tyle go interesowała natura materialna i seksualna kobiet i mężczyzn w czasie wojny, ile raczej szczególny problemat psychologiczny, na którym jest zbudowana miłość Karola i Anny... W jakii sposób się to dzieje, że jeden mężczyzna może opętać drugiego swoją miłością do kobiety? Frank niezbyt głęboko wchodzi w te wszystkie przejścia, jakby się obawiał zbyt psychofizycznie. Poprzestaje na napomknięciach, że śnać dusze Karola i Anny były dla siebie przeznaczone, że łączyła je z sobą nie telepatyczna...” Trójkę bohaterów sztuki Franka grają w Warszawie pp. Strońska, Strachocki i Krasnowiecki.

Wspominaliśmy już niejednokrotnie o widowiskach klasycznych organizowanych w różnych antycznych teatrach we Włoszech, w Grecji i w południowej Francji. Jak się dowiadujemy, w roku bieżącym, w

kwietniu i maju, włoskie towarzystwo narodowe przyjaciół teatru urządza w dawnym teatrze greckim w Syrakuzach (na Sycylii) przedstawienia tragedji Eurypidesa — „Ifigenia w Aulidzie” i Ajschylosa — „Agamemnon”. W okresie tych widowisk urządzony będzie również cykl odczytów z zakresu archeologii greckiej i greckiego teatru klasycznego.

Pomimo ciągnących się całymi latami zamieszek wewnętrznych w państwie chińskim, pomimo krwawych rywalizacji ambitnych generałów, wojny wszystkich przeciw wszystkim i niespokojnych warunków politycznych, nie można do narodu chińskiego (o bardzo starej jak wiadomo kulturze) zastosować znanego przysłowia: „inter arma silent musae”. Bo oto, jak podają gazety angielskie, posiadające zazwyczaj bardzo obfite i dokładne informacje z Dalekiego Wschodu, literat chiński o krótkim a dźwięcznym nazwisku Gu-o, po dziesięciu latach ciężkiej pracy, przełożył na swój język ojczysty arcydzieło światowe — „Fausta” Goethego.

Delta.

Z profilu:



Dolores

del

Rio.



W salach Filharmonji Łódzkiej odbyła się w tygodniu ubiegłym Reduta Artystyczna, zorganizowana przez zespół artystów Teatru Kameralnego w Łodzi. Na zdjęciu fragment tej wirtuoznej zabawy.



Liczna grupa uczestników tegorocznego balu restauratorów urządzonego w salach hotelu „Manteufel”.



Personel inspektoratu szkolnego w Łodzi oraz przedstawiciele nauczycielstwa na uroczystym pożegnaniu inspektora szkolnego p. Skowrońskiego. Fot. Meyer. Tel. 108-81.



Dorocznym zwyczajem hancerstwo Łódzkie oddało hołd księżciu karnawałowi na balu zorganizowanym przez Koło Przyjaciół Harcerzy i odbytym w tygodniu ubiegłym.



W lokalu przy ul. Piotrkowskiej 92, odbył się bal zorganizowany przez Towarzystwo Śpiewacze „Echo”. Na zdjęciu powyższem widzimy uczestników balu.



Związek Zawodowy Handlowców Polskich urządził dla najmłodszych zabawę karnawałową p. n. „Bal kostiumowy”. Na zdjęciu widzimy grupę rozbarwionych milusieńskich.

# 3-ci KONKURS

„Kurjera Łódzkiego”  
dla naszych milusińskich

p. n.

## „TYP DZIECKA POLSKIEGO”

W konkursie tym mogą wziąć udział wszystkie dzieci od lat 2—7, których rodzice winni nadesłać do redakcji „Kurjera Łódzkiego”

fotografie, oznaczone godłem,

nazwisko zaś imię i adres, winno być załączone w drugiej zamkniętej kopercie, oznaczonej tem samym godłem. Reprodukcje fotografii zamieszczane będą co tydzień w dodatku „Łódź w Ilustracji” w ilości od 12—20.

Gdyby fotografii w którymkolwiek tygodniu było więcej, kolejność umieszczenia nastąpi w drodze losowania.

**Konkurs trwa do 1 kwietnia 1930 r.**

Wszyscy czytelnicy mogą głosować na wybrany przez siebie typ wycinając odnośny kupon, znajdujący się w każdej niedziele w „Kurjerze Łódzkim”. Na kuponie tym należy wpisać tylko godło dziecka, na które się głosuje i w zamkniętej kopercie z nagłówkiem „Na konkurs” nadesłać pod adresem „Kurjera Łódzkiego”

Losowanie nastąpi w obecności członków redakcji po dniu 1 kwietnia 1930 r. Jako nagrody redakcja „Kurjera Łódzkiego” przynajmniej dla dzieci na które padnie z kolei największa ilość głosów:

- I Kompletne ubranko letnie, składające się z garniturku, względnie sukienki, trzewiczków i kapelusika oraz żeton złoty.
- II Rower dziecienny, względnie kolczyki złote oraz żeton srebrny.
- III „Niezdojta forteca” albo piękna lala i żeton brązowy.
- IV „Krokodyl” lub wielka piłka gumowa.
- V 6 książek w ozdobnej oprawie z bajeczkami ilustrowanymi.



Godło „Maizur polski”.



Godło „Pociechy II”.



Godło „Adwawu”.



Godło „Łobuzik”.



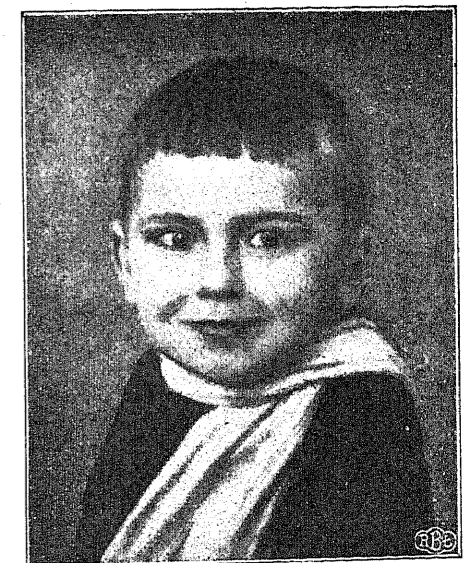
Godło „Mały psotnik”.



Godło „Lilijka II”.



Godło „Zaiduma”.



Godło „Sławomir”.



Godło „Przebudzenie”.



Godło „Śnieżyczka”.



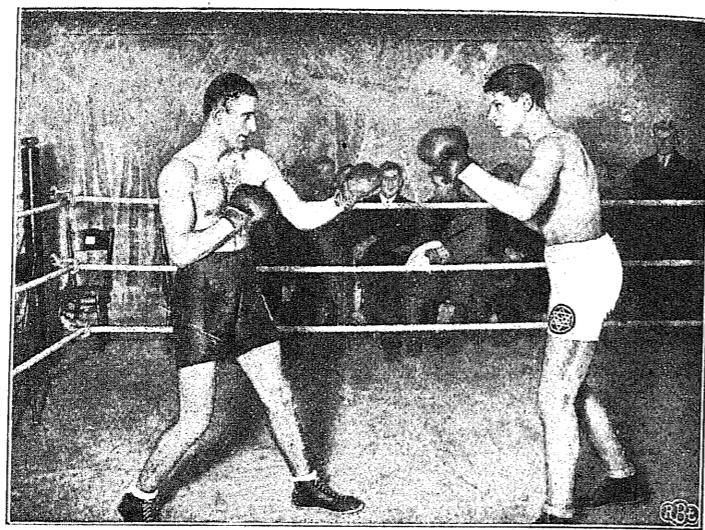
Godło „Danusia”.



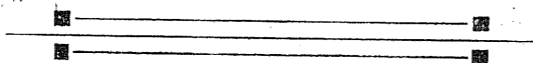
Godło „Wróżka”.



W tygodniu ubiegłym odbyły się międzyklubowe zawody bokserskie w sali Teatru Popularnego. Na zdjęciu widzimy grupę zawodników. Powyżej: p. wojewoda Jaszczolt, dyr. Poznański i dyr. Wolczyński oraz członkowie z dyrekcją I. K. Poznański.



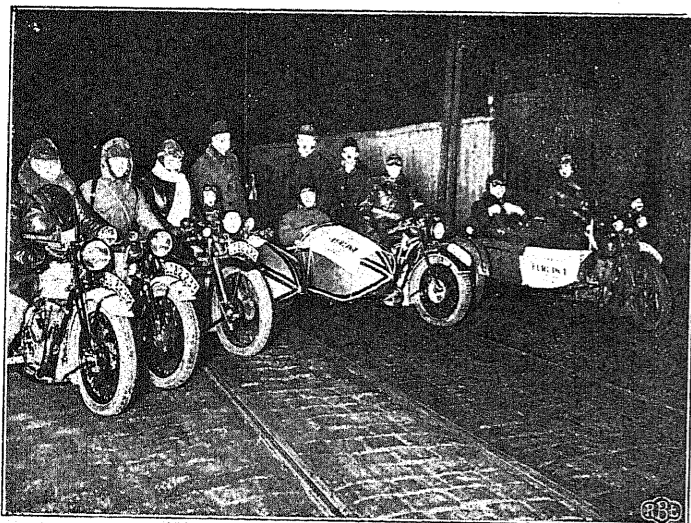
Fragment z międzyklubowych zawodów bokserskich w sali Teatru Popularnego.



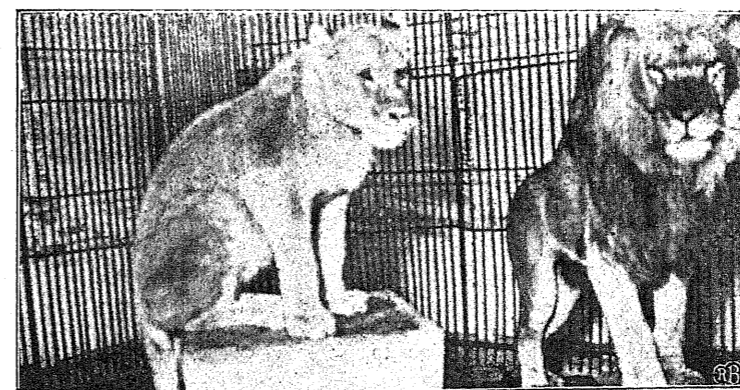
W Towarzystwie Śpiewaczym „Echo“ w Łodzi odbyła się podniosła uroczystość udekorowania najstarszych członków organizacji. Na zdjęciu widzimy grupę członków z jubilatami na czele.



P. Juljusz Sulima, łodzianin, podpisał kontrakt z angielską wytwórnią filmową „British Pacific Film Corporation“ na szereg scenariuszów filmowych. P. Sulima jest znanym kierownikiem warszawskich teatrów rewiowych.



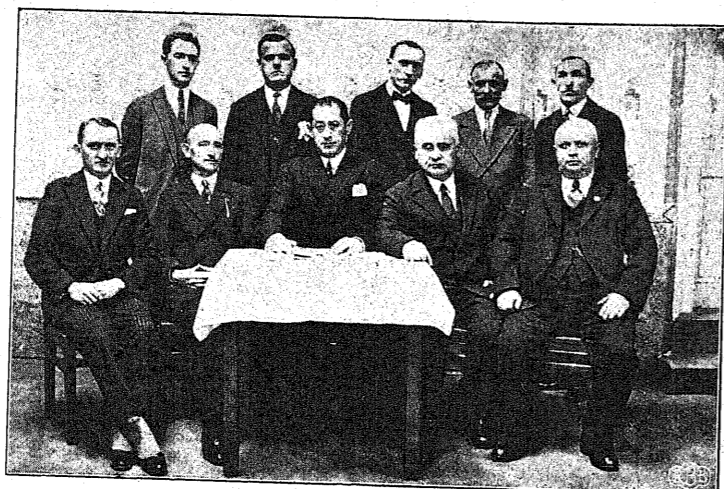
Towarzystwo Sportowe „Union“ w Łodzi zorganizowało raid motocyklowy na trasie Łódź — Berlin. Od strony lewej widzimy start i odjazd grupy uczestników raidu w siedzibie Tow. „Union“ przy ul. Przejazd, na prawo zaś uczestnicy raidu na krótko przed wyruszeniem w drogę. Fot. Meyer. Tel. 108-81



Egzotyczni mieszkańcy zwierzyńca łódzkiego w ogrodzie helenowskim, dwa najwspanialsze okazy lwów.



Władze miejskie w Łodzi utworzyły na Polesiu Konstantynowskim ślizgawkę, cieszącą się dużą frekwencją amatorów łyżwiarstwa. Powyżej widzimy młodzież na lodzie.



Polacy w Rumunii. Na zdjęciu grupa pracowników, zatrudnionych w tamtejszym przemyśle.



Reymond Destac i Conchita Montenegro, bohaterzy filmu „Kobieta i pajac“.



Jeden z ciekawych fragmentów filmu „Wiosenna parada“ z udziałem Nancy Dressed i Dawida Rollins.

HERWE DE PESLOUAN.

## Z umiłowania zawodu.

Druga godzina była kędys na zegarze. Promienie słoneczne, padające prostopadłe na chodniki i jezdnię ulicy Nowej-Swiętej Amelji, odbite przez jednolicie białe fasady domów, wytwarzały łącie inspektowe gorąco.

Policjant, mierzący swe sto kroków na skrzyżowaniu alei Motte-Pisquet i nowej szosy, szukał daremnie odrobiny cienia pod daszkami bram i drzwi gmachów urzędowych.

Żywej duszy poza policjantem w odcinku. Wobec upałów letnich w całej pełni, ktokolwiek nie był zmuszony drzeć w dusznym biurze, spoczywał z pewnością u siebie na łożku, otomaniu, czy szelongu przy zamkniętych szczelnie oknach ze zsuniętymi sztorami, nużąc się w pocie, nie zdolny do żadnego ruchu, graniczącego z cierpieniem, skapiący słów nawet, przyprawiających o zniechęcenie.

Policjant, wyjmując od czasu do czasu zegarek, rzucał nań zmudzonym okiem, wzruszał niecierpliwymi ramionami i zdjąwszy kępi wycierał mokre czoło chustką w kraty, której ani jedna nitka chyba nie była sucha. Poczem zmartwiałem spojrzeniem gonił za pustymi omal tramwajami i tak-sówkami, mknącymi ku szkole wojskowej lub Sekwanie.

Odgłos oddalonych kroków na rozpalonym asfalcie wyrwał go z odrętwienia. — Poruszywszy się żywiej, patrzył ze zdumieniem na dwóch osobników mierzących szybkim krokiem chodnik od strony ulicy Świętej Dominiki.

Przedstawiciel władzy, przymrużywszy oczy, badał intruzów podejrzliwym spojrzeniem; mogli liczyć po lat pięćdziesiąt każdy, ubrania mieli wytarte i zniszczone. Szli zważowo, milcząc.

O jakie dwadzieścia mniej więcej metrów od punktu obserwacyjnego policjanta, grubszy osobnik dotknął ramienia towarzysza i zdawał się tłumaczyć mu, że przyszli już do zamierzonego celu. Szczuplejszy spojrzał wstecz i naprzód jakgdyby sprawdzając długość przebytej przestrzeni i ruchem potwierdzającym skinął głową.

Wówczas, na oczach osłupiałego policjanta, nie zwracając najmniejszej uwagi na jego obecność, złożywszy zdjęte kapelusze-meloniki i kurtki na uboczu, weszli w kamień zerkając do bramy jednej z kamienic, by wybiec z niej pośpiesznie za chwilę.

Stanąwszy pośrodku ulicy jęli kłaniać się na wszystkie strony niewidzialnej nigdzie publiczności, posyłając od uśmiechniętych ust pocałunki w stronę pozamykanych bram, drzwi i okien, poczem zwróciwszy się twarzami do siebie uściskali się za ręce serdecznie. Smutne ich i poważne oblicza dotychczas jaśniały przytem radością.

Wśląd za tem wdali się w dialog ze sobą, przerywając go głośniejszymi klaskami, które jeden drugiemu wymierzał w ramię.

Szczuplejszy wreszcie siadłszy okraciłem na krzyż zgiętego w pół grubszego partnera. zaczął stroić pocieszne miny.

Policjant, zaintrygowany i niespokojny zarazem, opuściwszy swoje stanowisko ruszył ku nim powoli, śledząc z ciekawością istną grę akrobatycznych sztuk, skoków i koziołków niebezpiecznych, przerywanych wybuchami śmiechu i potopem błazeńskich dowcipów, conceptów i żartów.

O kilka metrów od sztukmistrzów zaledwie stójkowy wahał się czy ma zareagować w obawie jakiegoś niepoczytalnego kroku ze strony tych dwóch szalonych maniaków. Zakaszłał wreszcie, chcąc zwrócić uwagę ich na siebie. Grubszy mężczyzna spojrzawszy nań przyjacielsko produkował się dalej. Nagle, niesporokowany bynajmniej, kopnął swego partnera z całej siły, a gdy ten odwrócił się wściekły prawdopodobnie, wymierzył mu głośny policzek. Obity bolesnym gestem podniósł rękę do twarzy i byłoby się dwaj zapaśnicy wzięli za tby chyba, gdyby policjant nie wkroczył między nich.

Posłuszny bowiem obowiązkom swemu jedynie, przedstawiciel porządku publicznego, pomacałszy rewolwer w kieszeni z odsuniętym kępi na tył głowy ruszył energicznie ku zawadziakom i, głosem uprzęymym, wymawiając wadliwie „r“, jak na południowca przystało, zapytał:

— Hej, moi panowie. Co to wyprawiacie na ulicy? Sałę zeń robicie gimnastyczną, czy pole bitwy?

Zainterpelowani zneruchomieli i obity, zamiast, ku zdumieniu policjanta zwrócić się doń o pomoc, odezwał się żałośliwym głosem o wyraźnym angielskim akcencie:

— Ależ... panie policjancie... ja nie robię nic złego nikomu!...

— Naturalnie, że nie. — wtracił jego towarzysz śmiejąc się dobroduszenie — te!... ciebie boleć... nie mnie!...

Na to tamten, uderzając się w piersi: — O! Nie szkodzi! Nie szkodzi!... „Gra“ wymagać tego...

— Pan policjant pozwolić nam... grać dalej... — prosił grubas, odsuwając stójkowego.

I nie czekając odpowiedzi, pchnął pięścią z całych sił w brzuch swego potulnego partnera, aż ten jęknął, nie przestając uśmiechać się.

Policjant wówczas, uważając, że miara przebrana, chwyciwszy energicznie napastu jącego za ramię, zawołał:

— Chodźmy do posterunku!... Widzicie go... rozbójnika!

— Puść mnie!... bandyta!... demon! — darł się rzekomy rozbójnik, usiłując uwolnić się przy pomocy swego towarzysza z żelaznego uścisku ręki policjanta.

Nic nie wskórali jednakże; policjant trzymał rzepko swą ofiarę w kufaku, ciągnąc za sobą mimo silnego oporu, pozwalwszy wprzód włożyć kurtki i kapelusze obu osobnikom.

Niebawem stanął też w komisariacie, trzymając delikwenta w garści, podczas gdy

jego ofiara zmieszana i stropiona szła trop w trop za nimi.

— Panie naczelniku — meldował swej władzy — ci dwaj bili się na szosie... Pewnie upał odebrał im rozum... Tak myślę, że zlać ich zimną wodą — najlepsza sprawa!

Sekretarz komisariatu otworzył z trudem senne oczy, ściągnął nogi z biurka i zebrałszy rozprzeczłe myśli, stęknął:

— Nigdy spokoju, do diabła! No! Nazwiśka! Imiona! Zajęcie! Stan! Gadać mi, a żywo!

Na razie dwaj badani zaczęli mówić jednocześnie, za chwilę jednak szczuplejszy przerwał swemu kompanowi:

— Ja — zwrócił się do zastępcy komisarza — wytłumacz, panie sędzio. Ja lepiej mówić po francusku. My bo Anglicy — on i ja: Dan Smith i Joe Stern. Ludzie nazywać nas „Joe & Coucou“.

— Cóż to znowu za bajka?

— Ach, nie bajka! Pan sędzia zaraz zrozumieć... Pan policjant zabrać nas do komisariatu z tego miejsca, gdzie był Cyrk Lutecijski zeszłego roku...

— Istotnie — bąknął policjant.

— Aha! Pan policjant rozumieć już trochę. Joe i ja być: kłownami w tym cyrku. Taaak!... Kiedy magistrat kazać zburzyć i przebudować ulicę... my: Joe i ja... zostać bez posady...

Głos opowiadającego zalał się.

— Dziś, panie sędzio — ciągnął dalej, rozkładając ręce — cyrki już niepotrzebne... Dzieci mieć automobile... T. S. F., kino gadające... Taaak!... My bawić kiedyś ojców... ale nudzić teraz synków... Więc... panie sędzio... dla kawałka chleba... Joe sprzedawać mydło do golenia, a ja sznurowadła do bucików. Ja przysięgać, że prawda... oto nasze papiery.

Mówiąc to, rozłożył na komisarskim stole stare, na rogach wytarte świadectwa cyrkowe, brudne dowody osobiste i żółte fotografie.

— Ale my nie potrafisz zapomnieć o naszym zawodzie — opowiadał jeszcze były kłown, podczas gdy zastępca komisarza przeglądał ze wzruszeniem dokumenty — bo my lubić go... A że dziś rocznica ostatniego naszego przedstawienia, więc ja z rana powiedzieć do Joe:

— Pójść tam!

On rozumieć mnie i my pójść, jak wy mówić we Francji „na pielgrzymkę“ i robić nasze kochane sztuki, a pan policjant myśleć, że my brać się za tby... Ja... z moim starym Joe!... My nie być źli ludzie, panie sędzio, my tylko kochać nasz zawód!...

— Idźcie z Bogiem, przyjaciele — odparł sekretarz na to i poklepałszy dwóch nieboraków po ramieniu otworzył im drzwi prowadzące na ulicę.

Błążni, skłoniwszy się z wdzięcznym uśmiechem, wyszli i znikli niebawem z ulicy opromienionej przez chwilę poezją wspomnienia umiłowanego zawodu.

Thum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Niedziela, 9 marca 1930 roku.

Nr. 10.

## Pożegnanie karnawału.



W dniu 3 marca r. b. wytworna Łódź zęgnala owacyjnie kończący się karnawał — okres beztrudnych zabaw tegonocnych na wielkiej Reducie Prasy w salonach Filharmonji. Na żywo przemawiających zdjęciach widzimy w otoczeniu dam dworu, u dołu zaś od strony prawej królową balu p. Zofję Radziejewską, na tynnych wreszcie poszczególne fragmenty Reduty Prasy.

Fot. Meyer. Tel. 108-81